

Kronika tygodniowa.

Kronikarz *Nowości ilustrowanych* ze „zwoleńnika” spraw aprowizacyjnych stał się, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, politykiem, i przez cały tydzień studiował treść noty pokojowej papieża Benedykta, potem czekał na odezwanie się zwłaszcza przedstawicieli koalicji, a w końcu zaczął sam przygotowywać odpowiedź w imieniu swoim i P. T. Czytelników. Na razie pozostaje ona jeszcze w mem biurku, zakończenie jej jest jeszcze w kalamarzu, nie można bowiem zabierać głosu, dopóki nie oświadczy się urzędowo strony interesowane, więc w pierwszym rzędzie przedstawiciele ententy, a następnie mocarstw centralnych.

Na razie pospieszył się z odpowiedzią pan Wilson, prawdopodobnie dlatego, by dać dyrektywę reszcie sojuszników, jakie oni mają zająć wobec noty stanowisko. Jak można było z góry przewidzieć, amerykański apostoł pokoju, a obecnie wojny, nie odrzucił *a limine* propozycji papieskiej, owszem, raczył ją nawet pochwalić, ale równocześnie zaznaczył, że o zaprzestaniu kroków wojennych ani myśli, choć sam gorzkimi łzami płacze nad niedolą ludów, bo ententa nie walczy przecież z żadnym ludem, tylko z niemieckim militarystem i niemieckim rządem. Bardzo mu więc żal, ale, na razie przynajmniej, nie na to nie poradzi. Postąpił więc sobie zupełnie tak, jak ów lis z bajki, oplakujący gorzko garbaty los owego kurczątka, którego kości właśnie z apetytem ogryzał.

Skoro więc pan Wilson nie dał żadnej konkretnej odpowiedzi, ale, jak to mówią, wykreślił się sianem, ciekawy jestem, dlaczego kronikarz miałby być gorszym od niego?... Miałbym zaś powiedzieć głupstwo, wolę siedzieć cicho, a zabiorę głos dopiero wówczas, gdy już wygadają się wszyscy i, jak się to mówi popularnie... puszczać farbę. To jedno jest pewnem, że ja stanowczo oświadczę się za pokojem, bo na dalszem trwaniu wojny zupełnie mi nie zależy. Nie zrobiłem na niej dotąd interesu, nie zrobię go z pewnością i później, choćby ta wojna miała być, czego jednak nie dać Boże, trzydziestoletnią.

Pan Wilson jest jednak mądry, powiedziałbym nawet, by go dosadniej określić, że to „morowy polityk”, bo dopóty siedział cicho i gardłował za pokojem, dopóki jego rodacy robili na dostawach wojennych dobre interesy, a Japończyk z podółba patrzył na Stany Zjednoczone i przemysliwał nad tem, czy też nie mogłoby się i dla niego coś przy tej sposobności okroić, wszystko jedno, z tej, czy tamtej strony. Słowo „okroić” brzmi zaś tak podobnie do „skroić”, że panu Wilsonowi musiało się chyba przypomnieć polskie wyrażenie „skroić komu kurtę...”, więc przycupnął, jak zając pod miedzą i czekał. No i doczekał się, bo tymczasem między Japonią a Stanami Zjednoczonymi nastały takie przyjacielskie stosunki, że z tej strony nie trzeba się już niczego obawiać.

Stąd też i zmiana nuty i ta skwapliwość w odpowiedzi na notę papieską w tonie w każdym razie więcej wojowniczym, niż pokojowym, gdyż przecież wujaszek Wilson jest obecnie kapelmistrzem zespołu koalicyjnego i on, a nie kto inny, dzierży w swem ręku batutę. Głośno wyrzeka wprawdzie na imperyalizm niemiecki, ale sam chętnieby go zaprowadził i na gruncie republikańskim.

Powiedziałem sobie więc, że chyba szkoda łamać głowę nad rozwiązywaniem tak trudnych problemów, jak kwestya pokoju lub wojny, i czekać, a może i ja doczekam się czego.

Ale czego?... Sam jestem ciekawy, co też to może być i, jeżeli się dowiem, podzielę się wiadomością i z ogółem Czytelników, również jak ja, sądzę, pokojowo usposobionych. Niech zresztą Wilson gada sobie i pisze o wojnie, gdy my głos zabierzemy, przekrzykujemy go z pewnością, bo „gromada to wielki człowiek”, a za mną stoją tysiące pacyfistów najrozmaitszych odcieni, więc z „odszkodowaniami wojennymi” i bez, z aneksjami i bez nich i jak się tam jeszcze inaczej dzieli, bo i tutaj powstały już najrozmaitsze kółka i kółeczka.

Wogóle lubimy bardzo wszelkie „kółka”, ale musimy sobie powiedzieć, że do politycznych, to już zupełnie szczęścia nie mamy. Przy taczkach naszego politycznego żywota fungowało u nas od lat Koło, tak zwane „polskie”, ale tak przeraźliwie skrzypiało, że to raziło każde delikatniejsze ucho. Rząd to „Koło” od czasu do czasu smarował i wtedy było ciszej, ale ogół popychających owe taczki nie miał z tego absolutnie żadnej korzyści, zwłaszcza że te „smarowania” w potocznym języku nazywają się „obietnicami”.

Tych obietnic, co prawda, nigdy nam nie szeptano i teraz się też nie szepczę, ale, przynajmniej trzeba, na nich tylko się kończy, a inni jeszcze nam i tego zazdroszczą i powiadają, że Polacy to bardzo niewdzię-

czny naród. Tyle się im przecież obiecuje, a im tego mało i chcieliby koniecznie, by na samych obietnicach się nie kończyło.

W takich warunkach owe „Koło” porusza się więc z trudnością, choć pcha się taczki, ile sił. Zato drugie, tak zwane „sejmowe”, w ubiegłą niedzielę rozleciało się w kawałki, tak, że trzeba się koniecznie oglądać za stelmachem, by je zlepił bodaj jako tako do kupy, jeśli bowiem kiedy, to teraz trzeba, by było w porządku, skoro się wybieramy w drogę samodzielnego bytu i chcielibyśmy już raz przestać się trzymać obcej klamki.

Ale znów i tu wylażą na wierzch różne kółka i kółeczka. Każde z nich obraca się w swoją stronę i z rozmaitych chyżością, nie też dziwnego, że powodują tylko zamęt i kołowaciznę polityczną, która dziś u nas tak nagminnie grasuje, jak ongi takież kołtun.

I to może właśnie raz na zawsze zraziło mnie do zajmowania się polityką, tak tą na większą skalę, jak i domową, gdybym więc znowu wrócił do kwestyi aprowizacyjnych, proszę mieć mnie za wytłumaczonego, zwłaszcza, że jako „aprowizacyjny polityk”, nie mogę zająć się kwestyą odpowiedzi na notę papieską. Przygotowałem natomiast notę celem wręczenia jej naszym ministrom, gdy oglądając sobie Galicyę, zaważając o Kraków i otworzą łaskawie swe uszy na wysłuchanie skarg i lamentów ludności miejscowej, której, nawiasem mówiąc, bierze się to także za złe, iż przedstawia wobec obcych własny kraj w niezbyt pochlebnym świetle. Czy to potrzebne, by się chwalić, że Galicya to ojczyzna wszelakiego dziadostwa, skoro o tem wiedzą wszyscy, zwłaszcza ci, którzy stale utrzymują, że ona centralnemu rządowi tylko przysparza kłopotów, a tak trudno coś z niej wycisnąć!

Wypisałem więc dla panów ministrów wierszem i prozą, czego nam nie dostaje, a bez czego trudno się obejść, nie mogłem natomiast w żaden sposób wpaść na to, co w zamian, prócz wdzięczności i dobrego słowa, dać możemy, gdyż wszystko, co było, to już nam zabrano, a zęby ostrzą się nawet i na to, czego niema i nigdy nie było! Jeśli tylko uda mi się spotkać którego z dostojnych gości, choćby na bankiecie, urządzonym na ich cześć (chyba w wojennej kuchni obywatelskiej!... przyp. zecera), wręczę mu swój memoriał, a jeśli raczy co odpowiedzieć, odpowiedzią podzielę się z P. T. Czytelnikami, którzy z tego dowiedzą się dopiero z całą pewnością, czego się można spodziewać i „co w trawie piszczy”.

Ale znów kółka!... Ktoś, nie należący do tego, co ja, słysząc, jak rozmawiam z ministrem i maluję mu sytuację na czarno, odezwi się z pewnością:

— Ekszellenco! Ten pan przesadza!... Tak źle nie jest, a już, broń Boże, nie chcielibyśmy robić kłopotów Wysokiemu Rządowi, zwłaszcza w tak ciężkich czasach i gdy tyle nam już obiecano...

Pan minister kiwnie na to łaskawie głową i powie: — Ma pan rację!... Pesymistą nigdy się być nie powinno! Ja sam stwierdziłem na swe własne oczy, że tak źle nie jest... Memoriał pański dam jednak do zbadania, gdzie i komu należy!...

Ja w imieniu mego „kółka” i tamten pan z innego „kółka” ukłonimy się pięknie, a referat mój, jeśli wogóle opuści kiedy kieszeń ekszellenicy, to za interwencyą świętego Biurokracego może z czasem doczekać się załatwienia, a ja odpowiedzi, że „jeżeli się da, to się zrobi”, a jeżeli nie... to trudna rada.

W politycznem rozgoryczeniu miałem już zamiar wyjechać do Sztokholmu na ową konferencyę, która się podobno wcale nie odbędzie, gdyż tego koalicya sobie nie życzy, zostałem przecież w Krakowie, by się przekonać na własne oczy, czy naprawdę otrzymamy już w najbliższym tygodniu normalną racyę chleba i maki. Tak nam przynajmniej obiecano, choć nieraz już spełniło się na nas przysłowie: „Obiecał pan koźuch, ciepłe jego słowo!...”

Ale w każdym razie jesteśmy przecież w lepszej skórze, niż obywatele tego miasta niemieckiego, które narzeka na brak... trumien i żąda, by zaprowadzono Centralę, mającą się zająć ich rozdziałem. Co zaś znać Centrala, to wiedzą Czytelnicy z poprzednich kronik. Widocznie śmierć dała się im już porządnie we znaki i chcieliby sobie odpocząć. Może i nasz pan fizyk, ze względu na epidemię czerwonki, poczyniłby w tym kierunku odpowiednie kroki?... Myślę, że i u nas scentralizowanie dostawy trumien mogłoby mieć tylko dodatnie strony i jak najlepsze następstwa, przede wszystkim zaś wpłynęłoby gwałtownie na zmniejszenie się „ruchu umarłych”, co ulżyłoby znów w pracy miejskiemu Urzędowi statystycznemu.

Jedno więc łączy się z drugim, uiczem owe kółka, o których ciągle w niniejszej kronice wspominam, by znów nie wpaść w drugą ostateczność... aprowizacyjną, lub też, broń Boże, polityczno-strategiczną, na czem się już wcale wyznać nie potrafię, zwłaszcza od chwili, gdy m wyczytał, że front rosyjski na wschodzie ciągnie się od Husiatyna lewym brzegiem... Prutu. Tak

było wyraźnie napisane, raczej wydrukowane, ale nie w urzędowym komunikacie, lecz w doniesieniu „własnego korespondenta”, któremu wolno chyba żyć na złej stopie z geografją. A może uczynił, a raczej napisał to z rozmysłem, by w ten sposób wprowadzić w błąd nieprzyjaciela?... Jeśli tak, to nie biorę mu tego za złe!... Zresztą od Zbrucza do Prutu nie tak znów daleko, więc pomyłka jest wytłumaczoną.

Natomiast nie do darowania jest pomyłka owego berlińskiego introligatora, który wypędził z warsztatu praktykanta za to, iż tenże „przynosił wstyd zawodowi lepiaczy”, gdyż wieczorami pełnił z amatorstwa w teatrze obowiązki statysty. Pan majster był tem zbezczeszczeniem „introligatorskiego fachu” do tego stopnia oburzony, iż zażądał nadto trzystu marek odszkodowania od matki winowajcy...

Otóż ten pan introligator pomylił się w przyjeździe na świat co najmniej o kilka setek lat. lub o kilka tysięcy kilometrów, gdyż w Chinach i dziś jeszcze aktor nie może zostać mandarynem... Cech introligatorski powinien się wyrzec takiego ananasa, godnego, by wypchany, postawiony został w jakimś muzeum za szkłem, bo tylko na takie odznaczenie zasługuje!

Ze względu na to, iż zacząłem od polityki, do niej też powrócę, zwłaszcza, że nielada klina zabił mi w mózgownię projekt ustawy wyborczej do rosyjskiej konstytuancy. Posłów ma być osiemset, miało ich być nawet tysiąc sześćset, a każdy ma reprezentować okrągło dwieście tysięcy ludności.

Jeżeli w Rosyi odbywają się wybory tak, jak u nas, to jest przy pomocy kielbasy, można łatwo obliczyć, ile jej potrzeba kilometrów, a ponadto, ile tysięcy wiader „oczyszczonej”, by wyborcy mieli czem przepłukać swe gardła. Jeżeli ma się bowiem używać praw, jakie daje wolność, powinno się ich używać w całej pełni, bez wszelkich ograniczeń.

Obliczam więc długość owej wyborczej kielbasy przy pomocy różnych metod, jakich mnie w szkołach uczono i dochodzę do przekonania, że możnaby nią opasać bardzo łatwo całą kulę ziemską. Następnie zastanawiałem się, z czego ją sporządzić i miałem o to zapytać jakiegoś znajomego masarza, lecz mi odradzono, gdyż żaden z nich tajemnicy urzędowej nie zdradzi.

Nie podoba mi się też pokrzywdzenie rodziny carskiej, której odmówiono prawa głosu przy wyborach do konstytuancy. Jeżeli bowiem pan Mikołaj Romanow jest obecnie takim samym obywatelem, jak u. p. Iwan Osypowicz Mordochlapow, ciekawy jestem, dlaczego nie miałby korzystać z tych samych praw.

Ze względów natomiast wojennej natury cieszę się bardzo, że wybierając posłów będzie i wojsko, nawet to, co jest na froncie, wobec tego bowiem musi się skończyć wojna, gdyż czasu na nią braknie. Lada chwila powinny się zacząć zgromadzenia wyborcze w pułkach, potem w brygadzie, dywizyi, korpusie i t. d. trudno więc chyba myśleć wtedy o jakiejś nowej ofensywie.

I wnoszę, że rząd rewolucyjny właśnie z tego powodu odłożył wybory z dnia 30. września na czas nieograniczony, aby nie przeszkodził ofensywie, zapowiedzianej przez koalicję na wszystkich frontach jako odpowiedź za zdobycie przez Niemców Rygi. Taka jest wola Anglii, a jej, jak wiadomo, muszą bezwzględnie ulegać wszyscy członkowie koalicji.

Czekajmy więc, a może przecież raz doczekamy się końca, obie bowiem walczące strony okazują tyle zaciekleści, iż bardzo łatwo stać się z nimi może to, co z owymi historycznymi Radziwiłłowskimi myszami, z których po walce zostały tylko... ogony. W zaciekleści zjadła jedna drugą, sama o tem nawet nie wiedząc!...

Na sam najostateczniejszy zaś koniec zostawiłem sobie sprawę mundurków dla młodzieży gimnazjalnej, ze względu na poruszenie tej kwestyi przez pisma codzienne.

Z pomiędzy krajów koronnych jedna tylko Galicya była w tym kierunku „wyodrębnioną”, przymus bowiem mundurkowy obowiązuje jedynie u nas. Czy zarządzenie to odpowiadało celowi, zastanawiać się nad tem nie myślę, gdyż musiałbym powiedzieć, że nie. a nie lubię krytykować rozporządzeń władzy, bez względu na to, jak się ona nazywa. Skoro jednak tak być musi, to obecnie, w tych ciężkich dla każdego czasach, gdy obiecują nam już ubrania papierowe, należałoby wprowadzić jak najdalej idące ułatwienia, bo szkoła chyba na tem nie ucierpi, czy uczeń będzie nosił krótkie, czy długie portugale, przepisane koloru lub innego. Dla wielu rodzin, i to nawet średnio zamożnych, byłoby to prawdziwym dobrodziejstwem, gdyby można ubranie dla potomka przebrać u. p. z inekspimabli rodzica, wstydzącego się w nich już między ludźmi pokazać, bo tak się świecą. A wiadomo, że nie wszystko złoto, co się świeci!

